

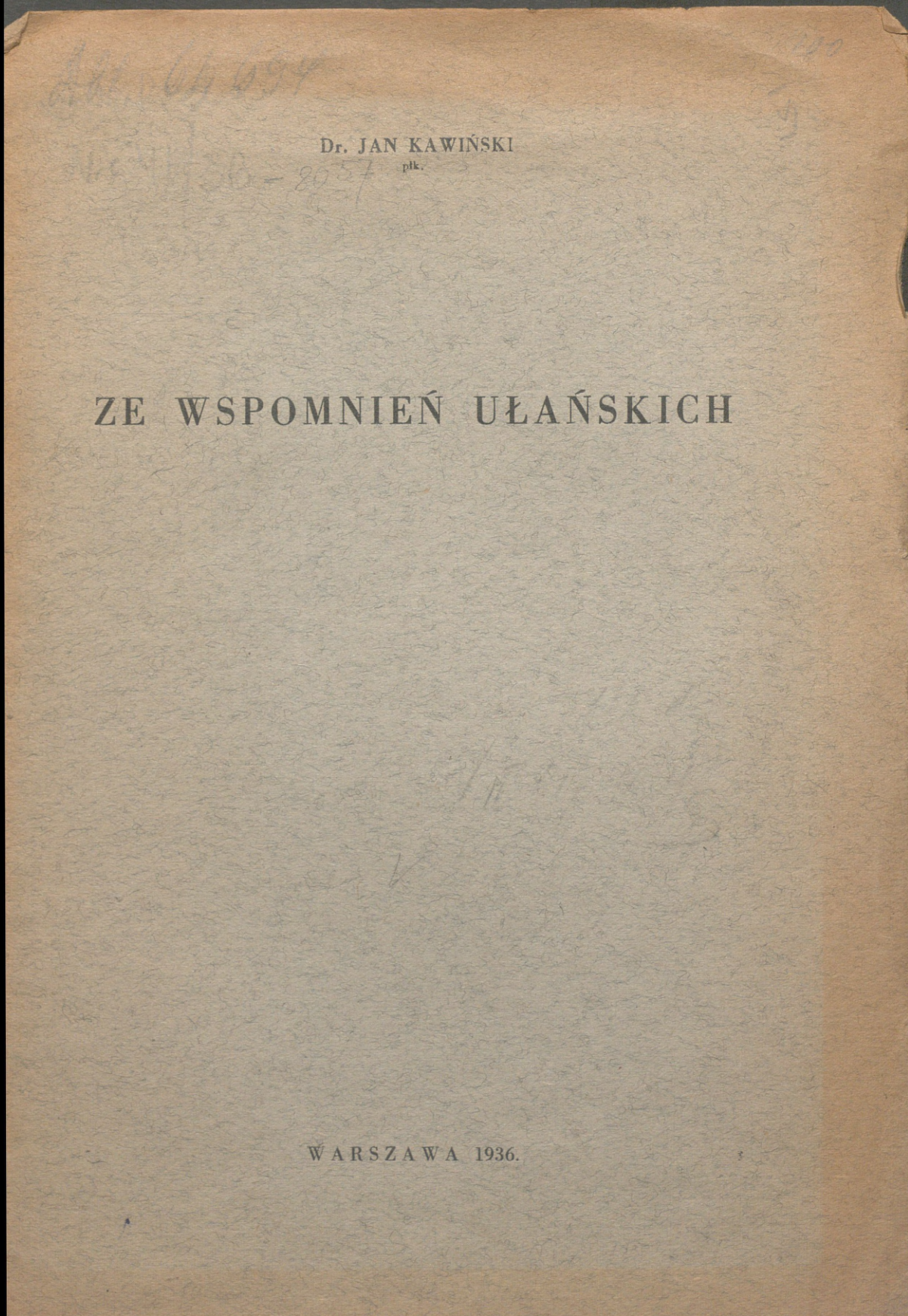
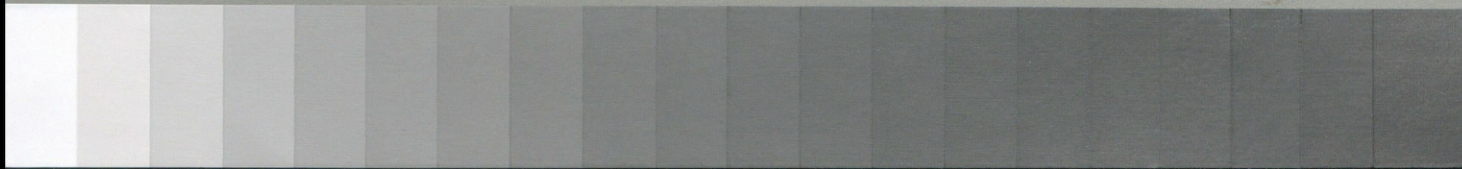


Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Dr. JAN KAWIŃSKI
plk.

ZE WSPOMNIEŃ UŁAŃSKICH

WARSZAWA 1936.

Dr. JAN KAWIŃSKI
plk.

ZE WSPOMNIEŃ UŁAŃSKICH



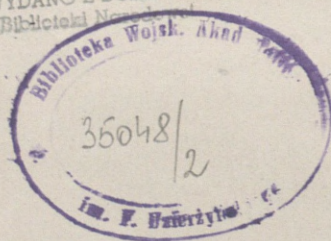
WARSZAWA 1936.

884-4 192

Odditka
z „LEKARZA WOJSKOWEGO”
T. XXVIII. Nr. 5/8.



WYDANO Z DULLETÓW
Biblioteki Narodowej



Druk. i Litogr. „Jan Cotty”
w Warszawie, Kapucyńska 7.

Karabin i nosze — dwa symbole: narzędzie walki i narzędzie ratunku. Dwa pojęcia o dwóch przeciwległych biegunach, które wzajemnie sobie przeczą, a przecież jedno i drugie jest wyrazem szlachetności — są ściśle z sobą związane.

Szlachetny związek tych symboli zaznaczał Komendant, czując, jak wiemy, słabość do służby zdrowia. Wzajemny ten związek zaznaczał się we wszystkich formacjach legjonowych, najbardziej może w pułkach ułańskich.

Zima r. 1915/16. 1 p. ułanów Beliny stanął na leżach zimowych we wsiach Werchy i Majdan na Polesiu. W Majdanie rozlokowany został 1-szy szwadron. Służbę sanitarną w tym szwadronie pełnił *Graba* (obecnie dr. *Graba-Lęcki*). Wkrótce Belina otrzymał rozkaz patrolowania spieszonym pułkiem błot rz. Wiesiołuchy w rejonie Frölichsdorfu. W Majdanie pozostała część szwadronu jako załoga dla bezpieczeństwa i do obsługi koni pod dowództwem jednego oficera, co mnie dostało się w udziale.

Siedzę w spokoju ze swą załogą, zdala od wszelkich władz, patrolując okolice. Naraz gruchnęła wieść (chytrzy łącznikowi ułani podsłuchali): szef sanitarny brygady kpt. dr. *Rouppert* jedzie na inspekcję sanitarną szwadronu, którą ma przeprowadzić przez zaskoczenie. Dzielni ułani wywachali przebiegłość szefa, boć przecież dowódca ich sam jest lekarzem, nie można go zasypać, nie można również zasypać ułanów, inteligentów. Należy bowiem zaznaczyć, że 1-szy szwadron składał się przeważnie z inteligentów, i to właśnie, jeżeli chodzi o zagadnienie higieny, było tragiczne.

Ulan Beliny im wyższy posiadał stopień inteligencji, w tem większej pogardzie miał higienę osobistą, która według niego niegodna była uwagi i nie miała nic wspólnego z jego dzielnością, brawurą i rycerskością. Ułan inteligent w nastawieniu swem myślowem rozstrzygał zagadnienia na poziomie naczelnego dowództwa, nie miał więc czasu na czynności higieniczne.

Co innego czyścić i pielęgnować konia — to robił z pełnem zamiłowaniem, koń bowiem był jego żywym narzędziem walki, był jego najlepszym przyjacielem.

Doraźnie zarządzam generalne porządkowanie kwater, ulicy i t. d.

Szef przyjeżdża, melduję się siarczyście obywatelowi kapitanowi, rad, żem przecież sparaliżował jego nieczne zamysły. Nieszczęsny, nie przewidywałem, że Szef Sanitarny I Brygady zna tak dobrze życie ułańskie.

— Obywatelu pporuczniku, spodziewam się, że przynajmniej u was, jako u lekarza znajdę wszystko we wzorowym porządku, zaczniemy od stodoł.

— Zdębiałem. W stodołach, zameldowałem posłusznie, tylko konie stoją, ulani kwaterują w chałupach.

— Właśnie dlatego pójdziemy do stodoł, a przedewszystkiem za stodoły.

Teraz dopiero odgadłem ukryte i chytne myśli Szefa Sanitarnego, higienisty. Ułani większość czasu spędzali przy koniach, a więc stan otoczenia stodoł mógł być kompromitujący. Niestety takiej przebiegłości Szefa nie przewidziałem.

Ostatecznie, wynik inspekcji może nie był najgorszy, gdyż wciery nie dostałem. Dzisiejszy Szef Departamentu Zdrowia, generał brygady dr. *Rouppert*, miał słabość do ułanów, ekwipował przecież w Krakowie w materiał sanitarny pierwszy oddział odrodzonego Wojska Polskiego. Oddziałem tym była pierwsza siódemka — patrol ułanów Beliny, który w dniu 3-cim sierpnia 1914 r. na rozkaz Komendanta przekroczył granicę Rosji i Austrii, rozpoczynając w ten sposób działania wojenne Polski przeciw Rosji.

Muszę się przyznać, że miałem stracha przed obywatelem *Rouppertem*: po pierwsze, że przyjechał jako władza na inspekcję mego szwadronu, po drugie, że ciążyło na mnie piętno zbiega z sanitariatu, a jako zbieg mogłem ściągnąć gniew zwierzchnika służby sanitarnej. Zaczne jednak serce srogiego Szefa było dla mnie łaskawe.

Dobre to były czasy, gdy można było zdezerterować bezkarnie. A czy mogłem nie zbiec?

W końcu lipca 1914 r. zapadam we Lwowie na bardzo złośliwą czerwonkę, zostaję przywiązany do łóżka. Nagaz transporty strzelców zaczynają wyruszać do Krakowa, ja czuję się bezsilny. Wkrótce Lwów, zagrożony, zaczyna się ewakuować. Próbuje wstawać — nie mogę utrzymać się na nogach. Trudno, mówią koledzy, w takim stanie przewieźć go nie można. Zostaję w łóżku na pożarcie Moskali. Jedna ze strzelczyń ofiarowuje mi swą opiekę, zostaje również. Po kilku dniach informuje mnie moja

strzelczyni, że już ostatni transport strzelców odchodzi do Krakowa, że odchodzą ostatnie pociągi ewakuacyjne. Zbieram swe siły i z zapakowanym uprzednio plecakiem, wspomagany przez dzielną opiekunkę, wyruszam pieszo z ulicy Piekarskiej na dworzec przez miasto, zupełnie opustoszałe od ruchu kołowego. Dopiero przypadkiem napotkany po drodze jakiś wóz wojskowy dowiózł nas szczęśliwie do dworca.

Zdążyliśmy na pociąg. Gdyby nie pomoc szlachetnej i dzielnej strzelczyni nie dostalbyśmy się do dworca.

W Krakowie formuje się nowy bataljon strzelców, który w początkach września pod dowództwem obywatela *Ryszarda Trojanowskiego* wyrusza do Szczucina. Bataljon ten ma dołączyć się do oddziałów Komendanta, wycofującego się z Kielc na Szczucin. Ja wraz z dr. *Jakowickim* znaleźliśmy się w tym bataljonie.

Przybywamy do Szczucina. Naraz gonią nas dziwne rozkazy z Krakowa. To wydało mi się podejrzanem. Mówię do kolegi *Jakowickiego*: słyszałem w Krakowie, że strzelcom nie brakuje lekarzy, więc ja nie wracam i poczekam w Szczucinie na Komendanta. Kol. *Jakowicki*, nieco strapiiony moimi niesubordynacyjnymi zamysłami, pyta, co ma powiedzieć władzom. — Powiedźcie, żem zdezerterował.

Bataljon wrócił, a ja zdezerterowałem do *Beliny*, który na drugi dzień wraz z Komendantem zjawił się w Szczucinie i wystarał się u Szefa Sosnkowskiego o przydział dla mnie do kawalerji.

Dr. *Jakowicki*, strzelec i asystent prof. Marsa we Lwowie, nasze bóstwo młodszych kolegów, wyjeżdżając ze Lwowa, zabrał na wojnę swój zestaw laparatomijny. Z zestawem tym przybył do Szczucina i później przez cały czas walk legjonowych pieczołowicie go pielęgnował w swym ekwipunku polowym naczelnego lekarza I p. p. Niestety jednak, jak mi mówił później, nigdy nie miał możliwości wykorzystania swego zestawu.

Trudne miał zadanie naczelnny lekarz pułku ułanów por. *Masządro*, niełatwo bowiem dogodzić w warunkach polowych żołnierzowi inteligentowi. A jednak jakże doskonale dawał sobie radę. Poznał dobrze psychikę ułańską, przede wszystkim był kolegą i przyjacielem a nie zimnym lekarzem. Lekarzem-żołnierzem trzeba się jednak urodzić.

Por. *Masządro* wymyślił szereg własnych specyfików, które, gdy raz zdobyły wiarę, nigdy nie zawodziły. Na czoło tych leków wysunęła się t. zw. „maszadrówka”, jako specyfik na wszelkie dolegliwości przewodu pokarmowego. Była to tajemnicza mikstura, która usuwała wszelkie dyspepsje oraz zaburzenia kiszkowe, doraźnie wzmacniała osłabionych, rozgrzewała zamrożonych, a przytem zawsze wzmagala fantazję ułańską. Był to środek niezawodny i najbardziej lubiany przez chorych ułanów. Lek,

który przyciągał również gromady symulantów, przed czym zresztą por. *Maszadro* bardzo się bronił. Biada była naczelnemu lekarzowi, gdy leku tego zabrakło. Jeżeli „maszadrówka” nie pomogła, chory skazany był na zesłanie do szpitala, a to było największą karą dla ułana. Maszadrówka przeszła do historii pułku, a jej skład pozostanie tajemnicą naczelnego lekarza pułku.

Nie zawsze jednak por. *Maszadro* mógł wczas zaradzić następstwom chorobowym. W 1915 r. strudzony pułk przyszedł na odpoczynek do Kowla. Chorych poumieszczano w opuszczonych przyzwoitszych mieszkaniach, plutony zajęły różne żydowskie dziury. Por. *Maszadro* żarliwie pouczał ułanów czego należy unikać, jakie lokale omijać, szczepił tyfus i cholere, wyłowił wszelkie podejrzone indywidua płci odmiennej. Czy mógł jednak przewidzieć, że w małym domku koło cerkwi pozostały trzy piękne córki popa, które wiele miały mu sprawić przykrości. Wkrótce bowiem pod domkiem tym dniem i nocą zaczęły godzinami wyczekiwać gromady ułanów, swarząc się przytem hałaśliwie o swą kolejkę. Wszyscy ci ułani znaleźli się potem u *Maszadry*, a następnie w szpitalu.

Gdyby ówczesny pomocnik por. *Maszadry*, obecnie kolega mjr. *Ryll-Nardzewski*, posiadał już wtedy swą specjalność, mógłby uchronić ułanów przynajmniej od szpitala.

Tyfus brzuszny i cholera oszczędzały nas, mimo, że częstokroć znajdowaliśmy się w takich warunkach, które bezwzględnie powinny spowodować zakażenie. Zawdzięczać to można jedynie szczepieniom ochronnym, surowo przestrzeganym w naszym pułku.

Nigdy nie zapomnę faktu, jak w jednej ze wsi poleskich pluton, w którym się znajdowałem, rozkwaterował się nocą w odosobnionej, opuszczonej chacie. Dowiadujemy się następnego dnia, że w chacie tej cała rodzina wymarła na cholere i że w przeddzień naszego przybycia pochowano ostatnią kobietę z tej rodziny. Dlatego chata ta była opuszczona.

Marzenia o dobrem pożywieniu nierzadko zaprzętały nasze umysły. Bo też i ciekawe było to odżywianie.

W r. 1914 posiadanie własnej kuchni polowej leżało jedynie w sferze marzeń. W początkach wojny żyło się własnym sumptem. Posiadacze gotówki dzielili się nią ze swymi kolegami. Każdy pluton starał się o wyżywienie na własną rękę. Z czasem zaczęliśmy dostawać prowiant w naturze, który był dzielony na plutony i patrole (sekcje). Dobrze, gdy na zajętej kwaterze znalazła się gospoia, która przyrządziła strawę, gorzej, gdy musieliśmy sami wysilać się na sztukę kulinarną.

We wrześniu 1914 r. w opuszczonym folwarku Lubiczko pod Opatowcem pluton nasz kupił świnie za 30 koron. Świnka kupiona, ale co da-

lej? — Koledzy zwracają się do mnie: tyś doktor, zabijaj. Nie chciałem tłumaczyć, że na Uniwersytecie Jana Kazimierza nie uczono mnie zabijania świń. — Dobrze, mówią, w każdym razie oprawisz ją, boś anatom. Wreszcie targ w targ i świnia padła od werndlowskiej kuli karabinowej (dla świńi pewniejsza niż Manlichera), a ja przystąpiłem do sekcji anatomicznej, dobrze zastanawiając się już nad pierwszym cięciem, za które padłem zresztą u ś. p. prof. *Dmochowskiego* przy egzaminie dyplomowym. Zdawałem sobie jednak sprawę, że przecież łatwiej mnie świnie oprawić, niż innym kolegom z plutonu, jak *Sieroszewski*, *Strug*, *Adwentowicz*, czy też *Leon Kozłowski*.

Jedliśmy bez przerwy dwa dni, t. j. 3 razy dziennie, wyłącznie świninę. Pomimo, że sposób przyrządzenia pozostawiał wiele do życzenia, jednak chętnie korzystali z naszego poczęstunku również znajomi z innych plutonów. W każdym razie smakowała, nikt nie rozchorował się.

W r. 1917 kończy się moja dezercja z sanitariatu. Pułk znalazł się w Ostrołęce pod okupacją niemiecką. Boje pułku miały być już skończone. Rozpoczęło się żmudne życie garnizonowe, prace reorganizacyjne, wyszkoleniowe. Zacząłem myśleć o sanitariacie. Zwierzam się z tem kolegom. Koledzy stawiają mi warunki: w sanitariacie musisz z miejsca zostać porucznikiem, inaczej nam ubliżysz.

Melduję o tem Szefowi Sanitarnemu Komendy Legjonów mjr. dr. *Rogalskiemu*. Szef Sanitarny Legjonów, złoty człowiek, zamiast mnie przepędzić za takie pretensjonalne wywody moich kolegów, w dobroci swej obiecuje dodanie mi jednej gwiazdki i uwzględnia moje życzenie, przydzielając mnie do szpitala legjonowego w Dęblinie. Niestety, gwiazdki tej nie otrzymałem.

Szpital w Dęblinie, niedawno przeniesiony z Kozienic, urządzony był na przeszło 300 łóżek, przyjmował chorych ze wszystkich pułków legjonowych, przede wszystkim z 6 p. p., stacjonującego również w Dęblinie. Lepszych warunków służby i pracy lekarskiej, niż były w tym szpitalu, niż można było sobie wyobrazić. Zawdzięczamy je komendantowi szpitala kpt. dr. *Buchowieckiemu*. Ja prowadziłem oddział wewnętrzny i dentystykę (wyrwalem zęby), oddział zakaźny — chorąży *Chrzanowski* pod moim nadzorem, oddział weneryczny — kol. *Pisch*, właściwego oddziału chirurgicznego nie mieliśmy. Przychodnię chirurgiczną prowadził chor. *Bielawski*, poważniejsze zabiegi chirurgiczne wykonywał dr. *Buchowiecki*.

Duszą naszego personelu oficerskiego, jak również personelu pielęgniarskiego, siostr, była p. *Marja Dziewulska*, której nie jeden chory życie swe zawdzięczał. Ofiarność jej nie miała granic zarówno w pracy pielęgniarskiej jak i w dostarczaniu chorym masy różnych środków odżywczych.

zapasów win i t. d. Bezinteresowność i serdeczne oddanie się pracy tej jednej osoby kolosalnie wpływało na morale całej obsługi szpitalnej. To też niejednokrotnie zastanawiałem się nad tem, jak wiele tego rodzaju projektorki mogą pomóc służbie zdrowia.

Nasza harmonijna praca została nagle zamacona. Do sanitariatu legjonowego zaczęły się wtrącać władze niemieckie. Rozkazem tych władz dr. *Buchowiecki* został przeniesiony do nowo-organizującego się szpitala w Żyrardowie. Na komendanta naszego szpitala wyznaczono dr. *Janiszewskiego*, kpt. lek. armji niemieckiej. Nie mogliśmy się z tem pogodzić. Dr. *Buchowiecki* bronił się jak mógł. Nic nie pomogło. Chodziło bowiem poprostu o zniszczenie naszego szpitala. Manifestacyjnie pożegnaliśmy dr. *Buchowieckiego*.

Przydzielono nam również intendenta, ślązaka z armji niemieckiej. Postanowiliśmy obu tych panów bojkotować.

Dr. *Janiszewski*, porządny człowiek, zrozumiał odrazu swoją sytuację, był jednak całkowicie subordynowany względem swoich władz niemieckich. Intendent, ślązak, nawpół zgermanizowany, uznawał tylko władze niemieckie. Przystąpili obaj do bezwzględnego wprowadzenia zleconych im instrukcyj. Okazało się to jednak nie tak łatwe: tabliczki z napisami niemieckimi, wywieszone jednego dnia, na drugi dzień zostały zamienione przez nas na polskie, zdjęto chorągiew polską — nazajutrz wisiała nowa. Zamiany te powtarzały się kilkakrotnie, aż zabrakło tabliczek niemieckich, pozostały więc polskie. Uprzykrzyło się również ślązakowi zdejmować chorągiew polską.

Dr. *Janiszewski* bojkotowany był przez nas towarzysko i to w sposób niemiłosierny. Ponadto na cześć intruzów skomponował nasz poeta szpitalny pieśń, którą chóralnie odtwarzaliśmy tak, ażeby nieszczęśliwy dr. *Janiszewski* dobrze ją mógł słyszeć. Jedna ze strof tej kompozycji brzmiała:

Niemieckiej Träger kultury,
Posłany, by zasiać plon,
Miast baranków, zastał tury,
Cóż nam zrobi taki glon.

Taka sytuacja komendanta szpitala była nie do zniesienia. Dr. *Janiszewski* już po kilku dniach męczenia się w naszym szpitalu poprosił o dłuższy urlop kuracyjny i wyjechał, nie wracając więcej. Innego komendanta nie wyznaczono. Automatycznie objąłem funkcje komendanta, łatwo już dając sobie radę ze ślązakiem.

Następuje kryzys przysięgowy. Pulki otrzymują rozkazy złożenia wiernopoddańczej przysięgi Niemcom. Zapełniają się obozy internowanych w Szczypiornie i Benjaminowie. O szpitalu w Dęblinie zdaje się zapomniano. Czekamy na rozkazy. Wreszcie, nie mogąc się doczekać, wysłałam do Komendy Legionów depeszę, prosząc o rozkazy. Otrzymuję treść przysięgi i polecenie odebrania przysięgi zarówno od chorych jak i od załogi szpitala. Znowu mój meldunek telegraficzny, że ja sam przysięgi nie składam, więc komu mam polecić odebranie przysięgi. Odpowiedź: przysięgę odbierze inny oficer, który sam złoży przysięgę, względnie oficer poddany austriacki. Odpowiadam, że żaden z oficerów przysięgi nie składa, a jedyny oficer, poddany austriacki, jest bezwyznaniowcem. Zdaje się, że dość miano mej korespondencji, gdyż otrzymałem telegraficzny rozkaz: odbierze pan przysięgę, pomimo, że sam pan jej nie składa. Przeprowadziłem formalności przysięgowe i zameldowałem, że nikt z personelu szpitala jak również z pośród chorych nie złożył przysięgi, prosiłem o dalsze rozkazy. Otrzymałem ostatni rozkaz: wyleczonych żołnierzy i personel szpitala odesłać pod eskortą do Szczypiorny, oficerowie mają jechać do Benjaminowa.

Tak się skończyła moja legionowa służba szpitalna. Jak się później dowiedziałem, szpital w Dęblinie został wkrótce potem zlikwidowany.







35048/

2.

19 PAZ 1936